



1 / *Nieskończona historia* / s. 71

Dada chwiała Cieplakowi

AUTOR: JACEK KOPCIŃSKI

Ta historia nie ma końca, dlatego Cieplak może ją nam opowiadać po wielokroć i ciągle od nowa. Jej bohaterami są zwykli ludzie, których szare życie pod czułym spojrzeniem reżysera nabiera barw i zamienia się w życie niewyczerpane.

■ Wszystko zaczyna się w ciemnościach, słychać tylko głosy. Pojedyncze, z lewa i prawa, na przemian i na krzyż. Chór samogłosek i spółgłosek, skąpo artykułowanych, dodawanych do siebie i powtarzanych niczym poezja niemowlaka, jękały albo... dadaistów. Głos pierwszy: „Da da da...”, a potem cisza. Głos drugi: „Da da...”, cisza. Głos trzeci: „Www”. Głos czwarty, ciąg dalszy: „No”. Na koniec razem: „Dawno”. Mają słowo. Wyjąkane, wyskandowane, ulepione z dźwiękowych drobinek, które jak iskra rozpraszają ciemności. Wypowiedziane najpierw nieśmiało, potem odważniej, energiczniej, z radością i zachwytem. Bo z niczego – coś, z nieznaczącego – znaczące, z pojedynczego – mnogie i nieskończone. Już nie okrzyk, jeden, drugi, ale cała opowieść, pierwsza i najważniejsza, bo o stworzeniu świata, który właśnie tu powstaje.

Cieplak po raz kolejny reżyseruje teatralną Genesis, która tym razem zabrzmiała jak ptasia pobudka o szarej godzinie, tuż przed wschodem słońca. Moment niezwykły. Spoza głosów znieńca wyłaniają się twarze, mającą sylwetki. Z lewej, z prawej. „Dawno, dawno, dawno, dawno temu...” – nawołują aktorzy, dotąd tylko słyszani, a teraz, przez moment, już widoczni. Ktoś się wychyla, ktoś szybko przechodzi. Oni tam są, w tej ciemności, artykułując dźwięki i po swojemu, prosto, jak ptaki albo dzieci, opowiadają Początek. Z kosmosu spadło to życie, ta żywa cząsteczka, a może z dna pochodzi, to nasze wspólne DNA? – pytają pół-

słówkami i zaczynają działać. Mówienie ich podnieca, a myślenie motywuje, idą więc za słowem, czując moc kreacji i radość twórczenia. W scenicznej pustce wypowiedzieli świat, potem zapełnili go sobą, a teraz opowiadają rzeczywistość na wyciągnięcie ręki: osiedle, bloki, ten jeden blok, w którym mieszkają Aniela Dąbek i Wiktoria Dworniczek, pobożne babce z włączonym na okrągło Radiem Maryja. Opowiadają i pokazują, swobodnie przechodząc od narracji do prezentacji, od opowieści do gry, od „mówię” do „jestem” – i „tworzę”!

Gdy Aniela Dąbek (Maria Robaszkiewicz) wprowadza rano swoją sukę Azę (Eliza Borowska), puka do drzwi Wiktorii Dworniczek (Elżbieta Kępińska), a potem razem idą do kościoła, gdzie o świecie zbierają się osiedlowe babce i kilku mężczyźn w poszarzałych marynarkach. Wspólnie modlą się do Boga i wyznają mu swoją wiarę w „rzeczy widzialne i niewidzialne”, a jest to wiara niezbędna, by świat zaistniał, co w blokowej kosmogonii oznacza wstawanie z łóżek, siusianie, pierwszy papieros i kielbasę na chlebie. Podobnie, by zaistniał spektakl, niezbędne jest działanie aktorów, którzy z zapalem wnoszą na scenę rzędy foteli i pojedyncze krzeselka. Potem ustawiają z nich widownię zwróconą przodem do wewnętrznej ściany, na której wisi piękna, czarna kurtyna w ramie innej sceny, ciemnej i tajemniczej, bo do końca zasłoniętej. Ciekawe, że opowiadając blokowy świat, zbudowali na scenie

teatr, a nie system mieszkań, klatek schodowych i wind. O codziennym życiu kilkunastu lokatorów będzie się tu tylko opowiadać, ale grać tylko jeden, wyjątkowy dzień, gdy życie tych ludzi uległo nagłemu wzmocnieniu i stało się dramatem. Dramat zawsze szuka swojego performansu. Pałyga i Cieplak nadali mu kształt świetlicowego oratorium.

Aktorzy Powszechnego grają więc chór, który przedstawia, a gdy to czyni, wyłania z siebie tego i tę, dziewczynę w ciąży i nauczyciela rysunku technicznego, szefową zakładu pogrzebowego i kierowniczkę karetki, kucharkę z McDonalda i sąsiada z dołu, który słucha rano piosenek zespołu Siekiera. Inni sąsiedzi słuchają czego innego, ten Dwójki, a tamta Trójki, programy ich charakteryzują, ale i formują, niczym czytane dawniej książki. Jesteś tym, czego słuchasz, i nie jest obojętne, czy rano budzi cię piosenka Siekiery, czy chorał gregoriański. Chorał stale towarzyszy Wiktorii Dworniczek, nawet w toalecie, gdzie kobieta trzyma tranzystorek, by ani na chwilę nie stracić kontaktu z niewidzialną falą. Nie jest to żadna profanacja, raczej cud wyniesienia pospolitej egzystencji, który natchnie chórzystów. W ich ariach święte nieustannie mieszać się będzie ze świeckim, rytualizując powszednie czynności i sakralizując zwykłe rzeczy, jak we wczesnych wierszach Białoszewskiego. Zbiorowa litania do sprzętów domowych, które żegnają zmarłą bohaterkę, to prawdziwy hołd, jaki autor *Nieskończonej historii* złożył autorowi *Szarej mszy* i *Szarych*



Scena zbiorowa

eminencji zachwytu. Zresztą całą sztukę Pałygi, to jego „oratorium na trzydzieści postaci, chór i orkiestrę dętą”, przenika duch Białośzewskiego, który przecież także napisał i wystawił oratorium niższej, bo ulicznej i podwórkowej, rangi, a mianowicie Osmędeuszy.

i choreografa – którzy nadzwyczajnie zestroili swoje talenty i wyobraźnię. I spektakl aktorów Powszechnego, którzy brawurowo dokonują wszystkie metateatralne piętka, na każdym grając jak z nut. Dosłownie, bo scenariusz *Nieskończonej* to precyzyjna partytura

stawień Cieplaka, *Kubusia P.* czy fenomenalnego *Słomkowego kapelusza*. Oto pojedyncza postać drobnym kroczkiem zbliża się do proscenium albo, zaginając przestrzeń, tworzy z ramienia łuk. Oto cała grupa, w oddaleniu lub stoczeniu, tworzy jeden organizm, który tętni życiem, choć porusza się jak kukielki na drucie. Głowa w bok, krok w tył, ramię do góry, i obrót. Każde słowo wywołuje gest, każdy dźwięk odciska się w ciele i emocjach.

Widziałem radość i łzy w oczach aktorów i domyślałem się ich źródła. Cieplak tworzy teatr totalny, a jednocześnie prosty i swojski, niemal domowy, w którym można się poczuć jak dziecko pod sufitem z koca. Aktor w tym teatrze jest sztukmistrzem, który precyzyjnie zaplanowanym działaniem rozkręca wyobraźnię widzów, ale nie pozostaje na nie obojętnym. Konstrukcja sztucznego, jawnie teatralnego świata, który tworzy, uderza także w niego. *Nieskończona historia* przypomniła mi, że sztuka może być zabawą i niesamowitym, radosnym transem. Od czasów *Słomkowego kapelusza* nic bardziej zachwycającego w teatrze Cieplaka nie widziałem.

***Nieskończona historia* przypomniła mi, że sztuka może być zabawą i niesamowitym, radosnym transem. Od czasów *Słomkowego kapelusza* nic bardziej zachwycającego w teatrze Cieplaka nie widziałem.**

Mamy więc teatr w teatrze, ten wewnętrzny, na scenie przed czarną kurtyną i pośród krzeseł maleńkiej widowni, i ten właściwy, którego tamten jest częścią. Spektakl Piotra Cieplaka, Artura Pałygi, Andrzeja Witkowskiego, Jana Duszyńskiego i Leszka Bzdyla – reżysera, dramaturga, scenografa, kompozytora

słów do wypowiedzenia, dźwięków do wydania, gestów i ruchów do wykonania, w ściśle określonym miejscu, tempie i rytmie, do świetnej, różnogatunkowej muzyki, która jak w filmie ilustruje sceny i jak w tańcu inicjuje działania oparte na charakterystycznej, marionetkowej choreografii. Znamy ją z innych przed-



Artur Pałyga mówił przed rokiem, że *Nieskończona* to jedyny dramat, który napisał z potrzeby serca, a nie na zamówienie. Spośród wielu jego sztuk „użytkowych” i „na temat” ta rzeczywiście jest wyjątkowym i bardzo pięknym dramatem poetyckim, co od razu zauważył Cieplak. Reżyserska adaptacja tylko potwierdziła klasę tekstu, który niczym szlachetny kamień w rękach jubilera nabrał po skrótach jeszcze większej wartości. Oczywiście reżyser znalazł w nim mnóstwo swoich ulubionych tematów, motywów, postaci. Może najbardziej dramat Pałygi przypomina scenariusz *Takiej ballady*, w której Cieplak na zasadzie scenicznej symultany pokazał życie lokatorów jednej kamienicy: pogrążoną w kryzysie parę młodych ludzi i stare małżeństwo na powrót przeżywające swoją miłość; niezależną dziewczynę z kadzidłem na smutki i studenta medycyny ze szkieletem w kącie; starego aktora recytującego fragmenty *Iliady* i rozmarzonego kłoszarda, który budował sobie zabawkę z drutu i sznurka, a w istocie cały czas czuwał nad kamienicznym światem.

Pałyga zebrał towarzystwo mniej wyrafinowane, a przez to, za sprawą tajemnic i pasji, którymi żyją ci ludzie, niekiedy jeszcze bardziej interesujące. Para młodych z *Nieskończonej historii* (świetni Karina Seweryn i Michał Napiątek) nie przypomina więc warszawskich yuppies, ale małomiasteczkową klasę średnią, która uprawia „seksik” na blacie w kuchni, babci na imieniny kupuje krem przeciw zmarszczkom i wiecznie się kłóci. W bloku Pałygi nie ma też studenta, jest za to kierowca karetki pogotowia (w spektaklu zagra go zadziornie Krzysztof Plewako-Szczerbiński) oraz nieco neurotyczny fan zespołu Siekiera, który pragnie narzucić życiu własny system i wszystko przelicza, porządkuje, klasyfikuje (stworzony do tej roli Andrzej Mastalerz). Zamiast aktora mamy zwykłego nauczyciela (charakterystyczny Cezary Kosiński), a parę kochających się starszków zastąpiły dwie stareńkie przyjaciółki. Za to niezależna dziewczyna w dżinsach okazuje się oryginalnym i bardzo tajemniczym połączeniem diabła i anioła (skupiona, trochę oddalona Aleksandra Bożek). Nad całym tym światem, tak jak w *Takiej balladzie*, czuwa dziw-

ny, podstarzały facet w trampkach, tutaj rodzaj osiedlowego działacza i niespełnionego artysty, którego u Cieplaka z ogromnym wyczuciem zagrał Mariusz Benoit. To, zdaje się, on organizuje świetlicowy teatrzyk i układa blokowe oratorium. W każdym razie na pewno pełni w nim funkcję Przewodnika Chóru, który trzyma pieczę nad całym spektaklem Cieplaka.

Akcja *Nieskończonej historii* zaczyna się nad ranem, a kończy, a raczej zwalnia (by ruszyć od nowa), późną nocą, kiedy każda z postaci jest już kimś innym. Wszystkie indywidualne wątki, co i raz przenoszone na estradkę lub w jej pobliże, zaplatają się wokół śmiertelnego wypadku Wiktorii Dworniczek. Staruszka w drodze z łóżka do łazienki, otoczona dźwiękami chorału, „poślizgła” się, upadła i umarła, a jej śmierć to moment, w którym pozostali bohaterowie *Nieskończonej* „wślizgują się” w nieznanym im dotąd wymiar życia. Mąż przestaje krzyżeć na żonę i po raz pierwszy dostrzega jej podobieństwo do matki. Samotny nauczyciel, wiedziony dziwną intuicją, kupuje w antykwaracie *Gilgamesza*, a potem przez trzy dni czyta najstarszy poemat świata, ła-

miąc sobie głowę, czy herosowi udało się pokonać śmierć. Dwie kobiety najpierw skaczą sobie do oczu w nocnej aptece (dokąd przyszyły po proszki na sen), a potem zaprzyjaźniają się i pomagają sobie, trochę zdziwione własnym postępowaniem. Stara sąsiadka Dworniczkowej wątpi w żalu w istnienie Boga, do którego obie całymi latami modliły się przed ołtarzem i radiem, ale wtedy właśnie usłyszy od zupełnie obcej osoby z domu pogrzebowego (Olga Sawicka) proste, kolokwialne zdanie, które przywróci jej wiarę: „Dzięki pani to się wszystko trzyma jakoś w kupie”. Aniela Dąbek podziękuje Bogu za te słowa przed świętą figurą w modlitwie, którą Przewodnik Chóru wypowie z emfazą, a będzie to scena niezwykła, w której kościelny kicz miesza się z empatią dobrej kobiety, przez co ujawnia nagle swoją mistyczną siłę:

PRZEWODNIK CHÓRU

Modli się żarliwie, żarliwie, jak tylko potrafi, z całych sił swoich, z całej duszy swojej.

Za Wiktorię, która ze śpiewem i śmiechem, jak wesoła wdówka, wierząc, jak konik, z ciała wyleciała, na zielonej łące stała.

Za Marię Krupę, co jak szewc bez butów, zapomniał o własnym pogrzebie.

Za Martę od światełka, która przebiegać w lekach jak w biżuterii będzie w chwili swojej śmierci.

Za Annę i Pawła, którzy póki się kłócą, będą żyli. Za Adama, pana pasztetówkę, budowniczego systemów, który, umierając, będzie liczył oddech.

Za ghostbustera Andrzeja, kierowcę karetki, w której wozą anioła i diabła.

Za pana czytanka, Jakuba, po którego przyjdzie Gilgamesz.

Za pana Trampka, Tomasza, który odejdzie, dotykając ściany.

Za Magdę, która rzyga, rzyga, rzyga i rodzi.

Za Azę, która czeka i która bardzo chce już siku.

Za miasto.

Za kraj.

I za cały świat.

Może dlatego dzieje się w nim tyle zaskakujących rzeczy? Tego dnia bowiem kierowca pogotowia rozmawiał też z diabłem o aniołach, dziewczyna z McDonalda (dziewczęca, pełna gracji Katarzyna Maria Zielińska) rozmyślała o nieśmiertelności duszy, a neurotyk przestał liczyć produkty w sklepie, bo odkrył nagle zupełnie inny, niewidzialny system międzyludzkich powiązań. Kiedy w kamienicy nagle zgasło światło, to właśnie on, śmieszny pan pasztetówka od liczb, włączył swoje radyjko na baterię i zatańczył ze starą sąsiadką pięknym prze-

bój *Nothing Comapares to You*. Co ona wtedy musiała czuć, ta Dąbkowa!

Dzięki tym i innym „wślizgom” rzeczywistość w spektaklu Cieplaka nabiera wartości metafory i nagle orientujemy się, że „dom kultury to świątynia, a dzień kamienicznej wspólnoty to jej całe życie, ujrane w perspektywie spraw ostatecznych. Tak, życie w tym świecie należy do śmierci, ale śmierć należy też do życia. I nie chodzi tylko o robaki, które tuczą się na trupach, czemu chór Pałygi i Cieplaka poświęci osobną pieśń o muszkach błękitnoskrzydłych. O wiele łatwiej i zabawniej pisać o muszkach niż o ludziach, których życie, właśnie dzięki śmierci, też staje się większe i, paradoksalnie, śmierć przekracza. Jest nie wy-czerpane. Dlatego kamieniczne oratorium, pełne tych wszystkich „no tak...”, „tak, tak”, bo co tu powiedzieć w takich okolicznościach, „poślizgła się” i umarła, nie będzie oratorium żałobnym, ale weselnym, co doskonale wyraża biała koszula nocna Wiktorii, radosny uśmiech zmarłej, jej przekorne poczucie humoru i dobre, łagodne spojrzenie. Kobieta dwa razy opowiada o swojej śmierci i dwa razy komicznym ruchem zadartej nogi pokazuje sposób, w jaki upadła. To Dąbkowa ma chore nogi, ale upadłam ja, zdaje się mówić swoim dziewczęcym uśmiechem, rozumiecie coś z tego? Raz wchodzi na estradkę od strony widowni, a raz spoza czarnej kurtyny, niczym powracający do żywych duch umarłej. Jest w tej zaduszkowej scenie śmieszna i przejmująca jak bohaterka niemego filmu Charliego Chaplina.

Tak samo śmiesznie i przejmująco wyglądać będą żałobnicy w finale spektaklu, tworząc komiczny chór dyrygowany w skupieniu przez nauczyciela. Chór, a zarazem instrument, bo każdy ze śpiewaków jest w nim osobną, chudą piszczałką w żywych organach. „Nie ma kiczu” – recytuje Diabeł z Makkatki, choć właśnie z kiczem zwykliśmy kojarzyć takie sceny:

Sznurówki zawiązane, guziki dopięte,
orkiestra dęta gra nokturn Chopina.

Tuby, puzony, werble i czynele
z wdziękiem oddają chopinowskie tryle.

A jednak i tym razem nie ma kiczu. Jest wzruszenie, kunszt mistrzowsko zestrojonych głosów i oddechów, i jest humor, bo każda z żywych piszczałek im niższy dźwięk wydaje, tym szerzej otwiera usta. Nie ma kiczu i nie ma śmierci, bo oto nagle w rytm nokturnu wkra-

da się żywiol niepowstrzymanej, wartkiej jak strumień mowy tej, która rodzi:

MAGDA

Ciało. Ciało w ciele. Mózg w brzuchu. Bije mi w brzuchu drugie serce. Ciało w ciele. Ciepło w cieple. Krew w krwi. Boję się krwi. Nie chcę myśleć. Kaszanka. Nie lubię. Nie lubię. Wcześniej tak. Wcześniej lubiłam. A jak nie wytrzymam? Dlaczego nie miałabym? Dlaczego nie miałabym wytrzymać. To się wytrzymuje. Wszyscy, wszystkie wytrzymują. Kiedyś nie było..., a jednak dawały... Dawały radę. A teraz... I co? Zwykle. To zwykle, to jest zwykle. Jestem zrobiona tak, żeby wytrzymać. Wytrzymać, aż się to, aż się ono ze mnie...

Tamci, ciasno pozapinani i sztywni jak patyki, celebrytują śmierć, ta, z brzuchem, napiera na gromadę, tuli się do niej, prze... Gadaniną, ciałem, fizjologią brzemienną rozsądza żalobę, napuszcza w nią życie i zabawę:

CHÓR

Ciepło.

MAGDA

Ciało. Ze mnie. Moje. Moje, czy nie moje? Co ja? Normalnie sama siebie nie poznaję. I w lustrze też nie. Tylko głos. Poznaję mój głos. Głos, głos. Mój głos, mój głos... Jedyną rzeczą... Znam. Głos. Mój głos.

CHÓR

Gorąco.

MAGDA

Szum. Rzeka. Rzeka płynie. Skąd ta rzeka? Skąd rzeka? Rzeka, co robi? Szum. Co robi? Rośnie. Co? Mmm.

CHÓR

Parzy! Już!

MAGDA

Jakbym to nie ja. Wystarczająco obcy, żeby słuchać. Światło. Jasne. Wszystko roztopia się w świetle. Południe, myślę, mówię na głos. Jest południe. Woda. Da, da, da. Da. Da.

Spektakl zatacza koło i głoskowym gaworzeniem niemowlęcia wraca do swoich początków. Także tych mitycznych. Zapada ciemność, słychać tylko głosy. Na grobie rodzi się dziecko, a z nim cały świat. Da, da, dawno temu i teraz. Wiecznie Teraz. Ta historia nigdy się nie skończy, choć zaczyna każdego dnia. Jutro też się zacznie, od nowa, o, już! ■

Teatr Powszechny

im. Zygmunta Hübnera w Warszawie
Nieskończona historia Artura Pałygi
reżyseria Piotr Cieplak
scenografia Andrzej Witkowski
muzyka Jan Duszyński
ruch sceniczny Leszek Bzdyl (konsultacja)
premiera 10 marca 2012